



WŁADYSŁAW WILCZEWSKI

Warszawa, 13 marca 1946 r. Sędzia Stanisław Rybiński, delegowany do Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, przesłuchał niżej wymienionego w charakterze świadka, bez przysięgi, przy czym świadek został pouczone o obowiązku mówienia prawdy oraz o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań i następnie zeznał:

Imię i nazwisko	Władysław Wilczewski
Imiona rodziców	Walerian i Maria z Halackiewiczów
Data urodzenia	21 lutego 1892 r.
Miejsce zamieszkania	Warszawa, ul. Mokotowska 52 m. 8
Zajęcie	członek zarządu Spółdzielczego Banku Ogrodniczego
Wykształcenie	szkoła rolnicza w Paryżu (Francja)
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarany

13 października 1943 roku o godzinie dwunastej w południe w łapance na ul. Świętokrzyskiej został zatrzymany mój syn Olgierd Jerzy Walerian Wilczewski, urodzony 11 grudnia 1922 r. Syn mój był uczniem szkoły ogrodniczej przy ul. Puławskiej i zapisany był jako robotnik w zakładzie ogrodniczym Henryka Szczecińskiego w Górcach 69. Syn, aczkolwiek był czynnym członkiem organizacji politycznej antyniemieckiej, został zatrzymany przypadkowo i w kieszeniach swych żadnych dokumentów kompromitujących nie miał. Wiem o tym z pewnością.

O okolicznościach, w jakich syn został zatrzymany w owej łapance, dowiedziałem się od jego krawca, którego nazwiska przypomnieć obecnie nie mogę. Później się dowiedziałem, że razem z synem schwytani zostali: Rafał Brzuziński, około lat 30, Józef Wiesław Karwat i Konstanty Raspopin.

Schwytanych, ogółem w liczbie pięćdziesięciu ludzi, zawieźli na Pawiak i tam w podwórzu więziennym postawili pod murem. Trzymali ich tam około dwóch godzin. Wreszcie nadszedł jakiś gestapowiec średniego wzrostu w nieprzemakalnym płaszczu i w długich butach, ze szramą na twarzy. Nazwiska jego dowiedzieć się nie mogłem. Ten gestapowiec wybrał spośród zatrzymanych młodych chłopców dziesięciu najbardziej wysokich i przystojnych, w tej liczbie i mego syna Olgierda i zabrał ich ze sobą z Pawiaka.

Pozostali zatrzymani zostali w Pawiaku i z nich jeden znany mi – Sakowicz – wkrótce został wypuszczony na wolność. Ten właśnie Jan Sakowicz, wówczas zamieszkały przy ul. Pańskiej 29 m. 30, opowiedział mi o okolicznościach, w jakich zatrzymany został mój syn. Po tej rozmowie z Sakowiczem rozpocząłem starania o zwolnienie syna.

Składałem podania przez dystrykt i przez starostwo w imieniu żony. Żonie powiedzieli w gestapo, że u nich syna naszego nie ma. Ponieważ syn był uczniem i pracownikiem ogrodniczym, więc rozpocząłem starania przez jego zwierzchników i przez szkołę. W wydziale ogrodniczym Starostwa Miejskiego, podległego ówczesnemu staroście miejskiemu Leistowi.

W niemieckim Starostwie Miejskim pracował urzędnik miejski, Polak, nazwiskiem Głębocki – referent do spraw spraw ogrodniczych w starostwie. Głębocki zgodził się podjąć starania o zwolnienie syna przez samego Leista. W owym dniu poszedł Głębocki do Leista i prosił go o wstawienie się za syna, jednak ten odmówił mu wszelkich starań i powiedział, że nie zamierza zajmować się zwalnianiem Polaków, gdyż nie uważa tego za stosowne. Udawałem się jeszcze do dystryktu, do pracującego tam kierownika Działu Produkcji Roślinnej w Wydziale Wyżywienia i Rolnictwa Wilhelma Schobelta, który oświadczył mi, że wszyscy zatrzymani tego dnia będą prześwietleni przez gestapo i, jeżeli się okaże, że są winni, będą zastrzeleni. Następnie Schobelt skierował mnie do Maksa Horna, *Regierungsrata*, szefa administracyjnego Wydziału Wyżywienia i Rolnictwa jako doradcy hitlerowców zatrudnionych w dystrykcie i pośrednika z urzędu między warszawskim gestapo a dystryktem. Horn wysłuchał mnie i czyniąc zarzut, że źle wychowałem syna i, że w ogóle Polacy powinni być wychowywani bardziej surowo, obiecał dowiedzieć się w gestapo i przyjął ode mnie podanie. Później jednak nie otrzymałem od niego żadnej odpowiedzi.

Poza tym próbowałem zasięgnąć informacji o synu od człowieka z naszej spółdzielni ogrodniczej, *volksdeutscha Kettera* z Ożarowa (imienia nie pamiętam), który miał przyjaciela gestapowca, mieszkającego we Włochach. Ketter zakomunikował mi, że: „Pański syn nie żyje,

gdyż wielu aresztowanych tego dnia zostało w krótkiej drodze zastrzelonych". Znow przez ojca kolegi mego syna nazwiskiem Bartke (imienia nie pamiętam), który był dyrektorem fabryki w Żyrardowie i przyjaźnił się z pułkownikiem Wehrmachtu, administratorem wojskowym Żyrardowa (imienia i nazwiska nie znam), uzyskałem informację, rzekomo otrzymaną od tego pułkownika, że syn mój żyje i dotychczas nie grozi mu niebezpieczeństwo. Tę informację otrzymałem w lutym 1944 roku.

W tym miejscu uważam za potrzebne podać, że chcąc podziękować Bartkemu za informację, byłem u niego w mieszkaniu przy ul. Marszałkowskiej, w domu znajdującym się na wprost ul. Litewskiej, w dniu 6 maja 1944 roku. Jak raz o tej porze, to jest o godzinie czwartej – piątej po południu, kiedy na Polu Mokotowskim Niemcy urządzili rzeź masową pracujących na działkach Polaków oraz spacerowiczów. Mogliśmy obserwować częściowo to zajście, gdyż okna mieszkania Bartkego wychodziły na Pole Mokotowskie, a mieszkanie znajdowało się na czwartym piętrze. Zauważyłem przez okno przelatujące kulki świetlne. Gdyśmy wyszli na balkon, usłyszeliśmy też strzały. Zauważyliśmy grupę ludzi skonsternowanych i niewiedzących, skąd padają strzały. Szybko podbiegło do niej około sześciu gestapowców i własowców i tę grupkę, bijąc, popędzili, a jednego młodego człowieka zaczęli bić kolbami, gdy upadł, zakopali butami zapewne na śmierć, bo się więcej nie poruszył.

Od syna mego, od chwili zatrzymania go przez Niemców, nie otrzymaliśmy dotychczas żadnej wiadomości. Mimo sprzecznych informacji, iż jakoby syn żyje (w rodzaju tej, którą otrzymałem przez Bartkego), jestem przekonany, że syn mój nie żyje i że został zastrzelony na terenie getta warszawskiego w kilka godzin po zatrzymaniu.

Syn mój był bardzo zdolnym, sprytnym i szybko orientującym się młodym człowiekiem. Kilka razy udawało mu się uciec od Niemców po zatrzymaniu go. Więc gdyby żył, to był za sprytny na to, żeby nie dać znać nam, rodzicom o sobie. Prócz niego mamy jeszcze tylko jedną córkę.

Dodaję jeszcze, że około 20 października 1943 roku przez pośredników udało mi się zasięgnąć informacji od ówczesnego komendanta Pawiaka Kurta Waltera co do syna i pośrednik zawiadomił mnie, że się dowiedział od Waltera, że syna mego nie ma na Pawiaku. Syn mój miał przy sobie wszystkie autentyczne własne dokumenty, gdy go zatrzymano.

Dom, w którym mieszkał Sakowicz, [jest] zniszczony, a jego po powstaniu nie spotkałem i nie wiem, gdzie się znajduje. Tak samo nic nie wiem o Głębockim. Brzuziński, Karwat i Raspopin,



którzy – jak mnie poinformował Sakowicz – zostali zabrani razem z moim synem z Pawiaka przez gestapowca ze szramą na twarzy, również nie powrócili do domu. Poznałem rodzinę Brzuzińskiego i Karwata. Matka Karwata przychodzi stale i dowiaduje się u nas, czy nie mamy wiadomości od naszego syna. Ona też żadnych wiadomości nie ma.

Rysopis Maksa Horna: wiek przeszło 50 lat, wzrostu niżej średniego, grubawy, przysadzisty, szpakowaty, łysawy, twarz ogolona.

Odczytano.